

Teksty Drugie 2005, 6, s. 4-6



Papierzyska

Anna Nasiłowska

Papierzyska

Autor wstępu jest zawsze w niezbyt zręcznej sytuacji. Szczególnie wtedy, gdy numer nie ma charakteru ściśle tematycznego, a zebrane w nim materiały łączy kilka wspólnych nitek tematycznych, nieprzypadkowo wyłowionych wśród stosu nadesłanych materiałów, ale dopisywanie do tego faktu jakiejś wspólnej myśli byłoby już za daleko posuniętą ideologizacją. I co ma zrobić autor wstępu? Dyskutować z tezami poszczególnych artykułów mu nie wypada, nawet gdyby temperament polemiczny ponosił, to trzeba go powściągnąć, a pisać zupełnie o czym innym – też niegrzecznie. Tym bardziej, że obecny zeszyt „Tekstów Drugich” jest powrotem do historycznoliterackich obowiązków i to nie tych spod znaku wielkich syntez, a skromniejszej miary. Składają się na nie: interpretowanie starych tekstów we wciąż nowych ujęciach, zgodnie z aktualnymi potrzebami, proponowanie odczytań nowszych dzieł w sposób lepiej udokumentowany niż krytycznoliterackie rozpoznania pojawiające się w prasie literackiej, dociekania biograficzne i filologiczne komentarze. Taka to praca, żmudna, wymagająca wielu przygotowań i cierpliwości. Bywa, że powstają w ten sposób teksty bardzo efektowne, ale jeśli czemuś naprawdę przysługuje dumne miano odkrycia – to archiwaliom. Tyle że – w przeciwieństwie do nauk ścisłych – odkrywca jest tu zaledwie skromnym pośrednikiem. Nie będzie biegał po mieście z krzykiem: Eureka! Wie dobrze, że właściwym autorem jest kto inny.

Ale jakież to przyjemne – mieć w rękę nieznaną dokument, móc go przeczytać, opublikować, skomentować. Mnie się to zdarzyło latem 2005 roku w Londynie, gdy zapoznalam się z nieznanymi dokumentami polskiego PEN Clubu z czasów II wojny światowej. Wyniki kwerendy ukazały się w Księdze pamiątkowej PEN Clubu, bo tam było ich miejsce. Najciekawszy dokument jednak nie ja odnalazłam – choć we wspomnianej księdze ukazał się w moim przekładzie z francuskiego. Jest to list otwarty Marii Kuncewiczowej do pisarek, napisany we wrześniu 1939 roku, a odnaleziony w Warszawie wśród papierów po Monice Żeromskiej. I jednak – to jest odkrycie, gdyż do tej pory było wiadomo, że taki list istniał, ale nie – co zawierał.

Czegóż się można spodziewać po „liście otwartym”? Zazwyczaj jest to tekst napisany dość drętwo, poprawnym, publicystyczno-abstrakcyjnym językiem, wypełniony humanistycznymi deklaracjami. Zdarza się, że tego typu deklaracje wywołują żywe reakcje emo-

cyjonalne, oburzenie, łzy, współczucie, ale raczej zawdzięczają to okolicznościom i trafności retorycznej niż sile literackiej. Tu jednak jest inaczej.

Maria Kuncewiczowa miała najpierw okazję ogłosić swój apel przez radio, za pośrednictwem lwowskiej rozgłośni. Niezbyt szczęśliwie wybrała trzy adresatki antywojennego apelu. Pierwsza, Virginia Woolf, pogrążyła się już w depresji, która doprowadziła ją do samobójczej śmierci. Druga, Colette, podczas wojny bała się i nie podejmowała działalności publicznej, ze względu na żydowskie pochodzenie trzeciego męża pragnęła, by o niej zapomniano. A z trzecią pisarką jest problem, mowa o Holenderce Emmie Ammerkuller, najprawdopodobniej chodzi o Dunkę Jo Ammers-Kuller, która sprzyjała faszyzmowi. Podczas ucieczki nie było jednak możliwości, by sprawdzić nazwisko, a pamięć bywa zawodna. Apel napisany został w ogniu, pod bombami.

Tekst nie powstał po to, by wywołać łzy, jest obliczony na śmiech, poczucie humoru czytelnika. Oto widzimy niewielką scenkę: mały domek, ogród wypełniony zapachem heliotropów i pracownię malarską z tyłu. Po całym tym gospodarstwie porusza się starsza pani, zazwyczaj zadbana i trzymająca fason. I tego dnia też chce stanąć na wysokości zadania, choć nie miała czasu, aby upiąć kok. Ukazuje się więc w siwych warkoczach.

– Cóż to jest – krzyknęła przechodząc – ten zapach pieczeni? To zapewne moja cielęcina, przypalona przez Adele.

Ale to nie cielęcina, to ludzie, którzy płoną żywcem.

Starsza pani nie klania się okolicznościom i dalej narzeka na służącą:

– I cóż ta Adela wyprawia, najwyższy czas obierać ziemniaki.

Tymczasem Adela poszła do ogrodu, żeby ukopać ziemniaków, i przysypało ją. Nazywana Schulzowskim imieniem dziewczyna leży pod murem, martwa. Tylko starsza pani wciąż nie przyjmuje tego do wiadomości, a wokół – mimo huku – czuje się jeszcze cudowny zapach kwiatów późnego lata.

Jednoczesność groteski i grozy – brawurowe ujęcie literackie.

List ukazał się w „Marianne” 25 października 1939 roku, być może nadało go BBC i – znów być może – radio japońskie. Kuncewiczowa poczuwała się do obowiązku zabrać

Wstęp

głos jako wiceprezes polskiego PEN Clubu. Wybrała formę bardzo indywidualistyczną, mówiła o sobie, o swoich przyjaciółach, którzy śmieli się, gdy opowiadała im scenę bombardowania. I dopiero ten śmiech udowodnił jej całą grozę sytuacji. Zwróciła się do „wielkich przyjaciółek życia”. Ta wojna jest przecież także przeciwko „pilnej służącej Adeli”, „przeciwko wiejskim ogrodom i dzieciom płaczącym za zabawkami, które zostały w zburzonych domach”. O sobie autorka pisze tak: „Jestem sama, wygnana z mojego świata, bez moich szpargałów, moich książek, zwierząt, bez mojego księżycyca, odbitego w falach Wisły”.

Na pierwszym miejscu wśród strat, litanii żalu – pojawiają się szpargały. W oryginale jest tam słowo *paperasses* – a więc może trzeba było przetłumaczyć: *papierzyska*? Ale to nie brzmiało: „Jestem tu bez moich *papierzysk*?” Czy może: „*papierzysków*”? I jeszcze to niefortunne skojarzenie z *papieżem*... Okropność! A więc dobrze przetłumaczyłam: *szpargały*. Ale i niedobrze, bo zatarłam związek z *papierem*. To nie chodzi o antykwaryczne specjały, chodzi o te normalne, zwykle lekceważone *papierzyska*. W ogóle w tłumaczeniu sporo jest punktów niepewnych. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że tekst został przez Kuncewiczową pomyślany i napisany od razu po francusku, a nie – przetłumaczony z oryginału polskiego. Wskazuje na to cała koncepcja językowa, idiomatyczność sformułowań. Co ciekawe, wiele listów napisanych przez nią po francusku wypada dość sztywno i blade, są w nich nawet niezręczności. Pod jednym z brulionów znalazł się dopisek – prośba do jakiejś panny Hanki: „Proszę bardzo uważnie przeczytać i poprawić, co trzeba!”. Widać pisanie literatury – to zupełnie inny tryb myślenia, otwierający inne, głębsze pokłady znajomości języka.

I jest tu cała koncepcja praw człowieka. Być człowiekiem: mieć swoją przestrzeń i prywatność, swoje *papierzyska* i swoje *klamoty*. „Nie czas żałować róż, gdy płoną lasy” – wołał Słowacki. A Kuncewiczowa we wrześniu 1939 roku, bardzo feministycznie, adresując swój apel do największych spośród piszących kobiet, upomina się o pozostawione zwierzęta, widok na Wisłę i pływające dziecinne zabawki. I o *papierzyska*. To dobre słowo, trafne, ekspresywne. Augmentatywne. Bo jednak na co dzień nie lubimy swoich papierów, notatek, dokumentów. Sprawiają nam kłopot. Gubią się. Łatwo je zapodziać, trudno odnaleźć. Notatki są niedokończone, domagają się nadania im jakiejś ostatecznej wersji. Denerwują. Ale to luksus: móc nie lubić swoich szpargałów. Ciągle wykraczać poza to, co jest w nich utrwalone, szukać czegoś jeszcze, innego, w przyszłości. Nie lubić szpargałów – i być do nich przywiązany jednocześnie. Zwykle jest tak, że wszystkie ważne egzystencjalnie sprawy wywołują ambiwalentne uczucia, jak wstyd i pożądanie, pragnienie i lęk. *Papierzyska* są ważne.

Anna NASIŁOWSKA